

domu, mieszka sama... sama — powtórzył z naciskiem i mrugnął znacząco. — Tyle wiem o niej, to ci chyba wystarczy, mogę ci jeszcze dodać, że bardzo mile przytula się w tańcu...

— A kto jest ten gość, który z nią tańczy?  
— O, to jest bardzo nieciekawa postać, znając go tu w mieście, nazywa się Zalkin, Isaj Zalkin, rosyjski żyd.  
— I co ona ma z nim wspólnego?  
— O, bardzo wiele, jest jej kochankiem.  
— Skąd wiesz? — rzucił pytanie Paweł, czując, że czerwienieje.  
— Od niej samej.  
— Jaktó, powiedziała ci tak wyraźnie, użyła tego słowa — kochanek?

— Prawie, powiedziała — „przyjaciół, który mi w życiu pomaga” — rozumiesz, pomaga — to wystarczy, zwłaszcza gdy się słyszało o Zalkinie. Bo trzeba ci wiedzieć, że pan Isaj położył dość duże zasługi w rewolucji rosyjskiej, walcząc o wolność proletariatu. Na terenie naszej stolicy objawił się tuż po wojnie bolszewickiej i jakiś czas siedział cicho. W parę lat później, dał się tu poznać jako jeden z krzewicieli naszej kultury gastronomicznej. Słynny bar „Pierrot” to jego własność, pewnie tam nieraz spijałeś koktaila, po czym pan Isaj posiadał dwa, czy trzy bary, w gorszym gatunku, tak jak dla proletariatu, jeden z nich mieścił się obok kościoła Karmelitów, no i jeszcze słyszałem, że ma jakieś hoteliki, których opinia interesuje się bardzo policja. Są to przedsiębiorstwa rentowne, toteż nie dziw się, gdy ci powiem, że pan Isaj obraca się w najlepszych towarzystwach, żyje bardzo wytwornie, ma piękny limuzynę, fagasów i tam dalej...

— I sam się tego dorobił?  
— Zależy, co się rozumie pod słowem „dorobił”, chodźmy słuchać, że Zalkin przywiózł ze sobą z Rosji jakieś kosztowności, brylanty, perły, odebrane zapewne ciemniejszemu proletariatu, być może znalazły się tam również kolczyki, wyrwane „tyrantom” wraz z kawałkami uszu, w każdym razie pan Isaj przystąpił do interesów z tak zwanym „poważnym kapitałem zakładowym”...

— Więc dlaczego taka kanalia chodzi na wolności? — przerwał Paweł z pasją.

— Nie wyrządzaj się źle o wujku porządnej panny z dobrego domu — upominał go Lubystek i uśmiechnął się gorzko.

W trakcie tej opowieści Paweł czuł, że traci panowanie nad sobą. W głowie miał szum, w który słowa Lubystka zapadały ciężko, jak kamienie. Duże ilości wódki, zwłaszcza „te ostatnie kieliszki”, sprawiły, że Paweł się upił. Był jeszcze przytomny i rozumiał co do niego mówią, zdradzał jednak niezwykle silne podniecenie, mówił głosem donośnym, prawie krzycząc i wymachiwał rękami.

— Ach, więc to tak! — pieniał się, utrzymując się z trudem na wysokim stolku — więc ten Isaj, czy jak mu tam, nie jest dla niej obcy, tylko ja jestem obcy, czekaj no, czekaj...

— Uspokój się, nie wrzeszcz tak, bo już się ludzie na nas oglądają — mitygował go Lubystek, lecz Paweł zaperzał się coraz bardziej.

— Słuchaj, Antos, słuchaj co ja ci powiem, jak tylko zagrają...

— Ale grają już od kwadransa...

— Więc jak tylko przestaną grać i zaczną następny taniec... uważasz? słyszysz, słyszysz co do ciebie mówię?

— Słysz, słysz...

— Więc jak tylko muzyka zacznie grać, to ja wtedy pójdę do niej i poproszę ją jeszcze raz do tańca...

— Teraz zapóźno, odmówi ci napewno, jesteś zalany.

— To nic, nie w tem rzecz... a w tem co jej powiem...

— Cóż ty jej powiesz?

— Powiem, co myślę o jej postępowaniu.

— Radzę ci teraz myśleć o swoim postępowaniu, jesteś urzędnikiem... Paweł! Zostań, nie idź tam, zostań proszę cię...

— Ale Paweł nie miał zamiaru zostawać, zgramolił się ze stołka i ruchem brutalnym odrzucił Lubystka. Zataczając się, szedł w kierunku sali, skąd dolatywała melodia fokstrotta.

— Będziesz tego żałował! — krzyknął Lubystek wład za nim. Paweł nie słyszał. Aparatura słuchowa jego mózgu notowała teraz wewnętrzne odgłosy organizmu: przeciągle, dalekie dzwonienie w uszach, na tle którego waliło przyspieszone tętno, niby słyszane przez sen dzwonienie i stukanie do drzwi. Paweł szedł znacznie śmiejąc, niż za pierwszym razem, trącąc chwilami równowagę, chwytając jednakże pion i trzymając się uparcie obranego kierunku, który prowadził do pani Urszuli. Dojrzał ją zdaleka. Z potęgującym się szumem w głowie, wytrzymując rozporząd przypływu alkoholu, które mdłą falą uderzały do głowy, Paweł przedzierał się pośród tańczących, odsuwając nienawistnie każdą przeszkodę. Nie słyszał nawet sygnalizacji za nim. Nie trącąc ani na chwilę tupetu, zatrzymał się przed panią Urszulą. Siedziała sama. Na jej twarzy czuło się wyraz zmęczenia i rozluźnione rysy tworzyły tę maskę beznamiętną, którą można podpatrzeć u kobiety wówczas, gdy ma pewność, że nikt na nią nie patrzy. Zaskoczona, raptownie odwróciła głowę i neutralny wyraz zniknął w mgnieniu oka. W oczach zatrzepotało sztuczne ożywienie, po chwili brwi uniosły się w górę, co wyrażało znak zapoznania. Paweł uklonił się.

— Czy mogę panią prosić do tańca? — postawił twardo pytanie. Na chwilę odzyskał panowanie nad sobą i spoglądał prosto w te lekko skośne, zielonkawe oczy. Wyczytał w nich odpowiedź, którą po chwili usłyszał wypowiedzianą, ostrym, niecierpliwym tonem:

— Proszę się ode mnie odczepić, już raz panu mówiłam, że z obcymi nie tańczę!

— To nieprawda — wymówił Paweł dobitnie, siląc się na spokój — tańczyła pani z moim kolegą, który jest również dla pani obcy...

— Nie spodziewała się tej bezczelności, śledziła z zapartym tchem, nie wiedząc narazie, co ma odpowiedzieć. Powstała raptownie z krzesła.

— Nie panu do tego z kim tańczę, nie myślę się przed panem tłumaczyć!...

— Chcę panią tylko pouczyć, że się w ten sposób nie postępuje... — wybuchnął Paweł podniesionym głosem.

Powstało zamieszanie, dokoła zaczęli gromadzić się ludzie, posępali się zapytania: — O co chodzi? Co się stało?...

Pani Urszula, której wargi drżały ze zdenerwowania, zwróciła się do jakiegoś młodzieńca z chryząntemą w klapie:

— Proszę pana... przyszedł tu z narzeczoną — mówiła ostrym, krzykliwym głosem... — zostałam na chwilę sama i wtedy podszedł ten pan i zaczął mi robić dzikie awantury...

— Czy pani zna tego pana?... — spytał młodzieniec, mierzając Pawła wzrokiem.

— Nie znam go wcale... to jakiś typ, który nie umie znaleźć się między ludźmi, proszę go stąd usunąć!...

Paweł przestał panować nad sobą.

— Hala, kochana pani!... — wybuchnął z całą pasją — nie takich tu trzeba usuwać!... nie takich jak ja, Polko jasnowłosa... usuwać trzeba Zalkinów!... słyszysz pani?... Zalkinów, których forsą czarują niektóre panie!... Wyrzućcie z siebie beznadziejne wyrazy, nie wiedząc już sam, co mówi. Jacyś panowie schwycili go za ramiona, szarpnęli się z całej siły i wyrwali jednym ruchem. Przyskoczył do pani Urszuli i cisnął jej prosto w twarz:

— „Nie umiem się znaleźć... między ludźmi! Pani za to umie... aż za dobrze... znalazła się pani w żydowskiej kleszeni!... Panna z dworku, psia krewno!”

Dokoła rozległy się głośnie okrzyki: — Wyprowadźcie go stąd!... — Wście pod ramiona!... o tak... no dalej go, za drzwi z nim!...

Paweł stracił przytomność, już nie czuł, co się z nim dzieje.

Dziwił się tedy nazajutrz, gdy się obudził w swoim własnym łóżku. Czyjeś troskliwe ręce ułożyły go do snu, rozebrawszy z kusej fracka, który złożony starannie zwiisał na poręczu krzesła. Do fraka klapy była przypięta kartka:

„Wyrwałem cię wczoraj z rąk oprawców, śpij spokojnie”.  
Antoni Lubystek.

Widocznie poczuwał się do tego obowiązku.

Możnaby na tem zakończyć niedyskretnie szperanie w kartotekach Pawła, opatrzonego napisem: „Przeżył miłośne”. Od czasu tego skandalu, zaczęły się w jego jestestwie dziać rzeczy tak przykre i tajemnicze, że trudno je podciągnąć pod to samo miano, ubliżałoby to uczuci tak szlachetnemu jak MIŁOSC. Niestety, brzydkie te sprawy figurują w tych samych kartotekach, gdzie dostały się zapewne przez pomyłkę. Warto przejrzeć je zatem, choćby dla porządku.

Następnego ranka, po balowym skandalu, Paweł czuł się niezłe, ubierając się, wygwizdywał nawet zasłyszane na balu melodie, zwłaszcza pewien wiedeński walc utrwalił mu się w pamięci. Wychodząc z domu, włożył swój ulubiony wiśniowy szalik.

Zastał dzień mroźny, ale pogodny i suchy. Była niedziela. Paweł nie posiadał w domu kalendara, lecz zaraz po wyjściu z bramy na ulicę, poznał ten uroczysty dzień po jego odrębnej barwie i zapachu. Nie dlatego, że sklepy były pozamykane, bynajmniej, wcale tego nie zauważył, wyczuł niedzielę w powietrzu, wywolił ją uchem z ulicznych odgłosów. Spokój, który wypełniał całą atmosferę, nastrojał ruch uliczny na inny ton, głębszy, ściszony i jakby wyraźniejszy. Rozmowy, kroki, dzwonięcia, nie łączyły się, lecz każdy dźwięk brzmiał osobno, zwłaszcza stukot dorożek, jadących po asfalcie, wydawał zupełnie inny odgłos — niedzielny. Nad ulicami przefruwały spokojnie gołębie, a uderzenia ich skrzydeł w powietrze miały dźwięk blaszany. Przechadzając się swobodnie ulicami, Paweł przypomniał sobie dokładnie całe wczorajsze zajście. Uplastyczniał je sobie wzrokowo, przyjrzał się sobie z boku okiem biernego widza, dokompletował w swojej wyobraźni te wszystkie odczucia, których nie mógł zanotować zmysły, przypięcone nadmiarem czystej z kropelkami. Uprytomił sobie zwłaszcza cząstkę, kiedy to chlupnął kobiecie prosto w twarz ostatnie, piękne zdanie. Uporządkowawszy to wszystko w głowie, doszedł do wniosku, że całość wypadła korzystnie.

— Tak, trzeba uczyć moresu te damy, których pojęcie taktu zmienia się, zależnie od ich fantazji.

Wszedł do apteki, gdzie zażył na miejscu proszek przeciwko katzenjammerowi, uprzejme farmaceutki odniosły się do niego z pieczołowitością i ku zdziwieniu Pawła nie chciały przyjąć pieniędzy za ten specyfik. Mało te nawet pewien styl.

Walczył się dalej bez celu, zaglądając do natłoczonych o tej porze kawiarni, stawał przed witrynami z męską konfekcją, ale głównie spoglądał w wyloty ulic, któreimi płynęła rzeka niedzielnych spacerowiczów. Wzrok jego penetrował niespokojnie, jakgdyby czegoś szukał. Paweł przyłapał się na tem i w pewnej chwili uświadomił sobie, że wypatruje w tłumie pewnego, określonego kształtu — znajomej sylwetki. Przystanął na chodniku, zastanowił się chwilę i zdał sobie z tego sprawę — pragnął zobaczyć panią Urszulę.

Od tego momentu zaczęły się przeżycia arcydziwne. Natychmiast wrócił do domu i zwał się na niezasłane łóżko. Przewracając się z boku na bok, to znów patrząc nieruchomo w sufit przeleżał bardzo długo. Nie jadł obiadu ani kolacji.

Myślał...

Wynik był ten, że gdy o północy podniósł się z łóżka, nastąpiło w jego jestestwie drobne, nie nieznaczące prawie przesunięcie. Jakgdyby niewidzialny jakiś figlarz przekreślił, mały guziczek w nadawczym aparacie mózgowym, powodując dwójsty proces myślenia. W audycji mieszały się głosy dwóch Pawłów, z których wyraźniej rozlegały się słowa tego drugiego. Argumenty swe zaczął od tego, że odwołał to wszystko co myślał Paweł I-szy rano. Odmówił mu racji, nazywając jego wczorajszy postępek brutalnym i niegodziwym.

— Cóż wiemy o tej kobiecie? — szeptał w podnieceniu — wiemy to tylko, że jest ładna i że się panu podoba, pozatem nic, czarna kurtyna. Cóż wiemy o jej pozycji z mężem, z tym pijakiem Dziubielem? Kto wie, może było tak trudne i ciężkie, że jej słabe rączki...

Paweł II-gi rozkulił się i głos mu nagle zwilgotniał.

— Te rączki... które się panu tak podobają — ciągnął po krótkiej przerwie — nie musiały wytrzymać... brudnej ściěrki do podłogi... Kto wie, może to urocze i słabe stworzonko, ma na opiece matkę staruszkę, którą kocha nad życie i osładza jej starość? Tak panie Pawle I-szy! to nie sztuka urządzać po pijanemu chamskie awantury... Wylazł z pana szlachetka, wiejski nieokrzesaniec... Pożło panu o tego Zalkina... chyba nie zechce mnie pan przekonywać, że wytrąciło pana z równowagi zignorowanie pańskich tanecznych zapędów, to przecież drobiazg, żadna dama na balu nie jest obowiązana tańczyć z pijakami, a od pana jechało wodą na kilometr. Tymczasem Lubystek był trzeźwy i umiał się zachować do ostatka, najlepszy dowód, że wyratował pana przed „lynchem ludzi do brze wychowanych” i odwołał całego do domu. Tak, panie szlachetko, rozsiadł się pan o tego żyda. Nie przeczę, że jest to podła figura, ale ma pieniądze... A czy pan ma pieniądze? Co? zdobył je w nieuczciwy sposób? — bądź pan zatem uczciwszy, kłóć panu zabrania zdobywać pieniądze w granicach kodeksu? Dorabiaj się pan, pracuj, myśl, ruszaj się, odkładaj, ale na Boga, nie rób damie awantur! Zastanów się pan nad tem, a napewno dojdzie pan do wniosku, żeś postąpił jak brutal, który wyrządził ślicznej kobiecie krzywdę. A czy jest pan tego pewny, że po skandalu, całą noc nie płakała?... że spod tych rzęs długich... — Paweł II-gi rozczulił się teraz na dobre, hamując płacz, mówił drżącym szeptem — że... spod tych rzęs, nie spływały łzy?... Czy jest pan tego pewny? Ale trudno, stało się, nie będą pana dłużej nudzić — sądzę, że będzie pan wiedział, co dalej począć. Przypomnę panu tylko, że ma pan dobre polskie nazwisko i że żaden z Popiełców nie obraził nigdy kobiety. Krzywdę, którą pan wyrządził pani Urszuli, trzeba naprawić — jak? nie wiem, to już rzecz pańska, sądzę, że sprawa będzie załatwiona dopiero wówczas, gdy ona sama panu przebaczy. Jej uśmiech przyjazny, skierowany do pana, będzie dowodem, że jest pan w jej oczach zrehabilitowany. Ach panie zdobył ten uśmiech, to będzie wielkie dla pana szczęście!... Ach i te nogi pannie, te nogi...

Wie pan, powiem panu teraz otwarcie, że gdyby pani Urszula nie była tak piękna, nie winiłbym pana aż tak dalece...

Taką oto przemowę wykrepił Paweł II-gi. Rzecz prosta, że tą świetną argumentacją przekabacił Pawła I-go i w ciągu następnych dni, rozpoczęli obaj w jednej osobie cykl nieopatrznych i dziwnych posunięć.

Z samego rana nazajutrz, Paweł zastawił w lombardzie srebrną papierosnicę, za którą otrzymał dziesięć złotych. Kupił za część tych pieniędzy bukiet czerwonych róż i posłał go pod adresem pani Urszuli (ul. S. numer 53, zapytać stróża o panią Dziubielową i oddać do rąk własnych nie mówiąc od kogo). Resztę pieniędzy przeznaczył na opłacenie elektryczności. Następnego dnia kupił kremowy papier listowy i kopertę z podszezwką. Zasiadł na cały dzień do pisania epistoły, którą pisał z Pawłem drugim do spółki.

Odpowiedź nie nadeszła.

Wyrzucił więc drugą epistolę — również z tym samym skutkiem. Zastawił złoty zegarek i posłał pani Urszuli duży kosz azalii. Tym razem zaryzykował dołączyć do niego bilecik ze swoim adresem. Postąpił słusznie, posłaniec bowiem nie miał kłopotu z odnośzeniem kwiatów spowrotem. Wykonując te dziwne czynności, Paweł nie tracił czasu i poświęcał chwile wolne od tych zajęć na szpiegowanie pani Urszuli. Czuł się w bramie na vis a vis jej domu, ukrywając się na klatce schodowej o piętro wyżej lub niżej od jej mieszkania, oczekiwał na jej wyjście z domu, lub powrót. Chodził za nią ulicami, przemyslał się po przeciwnym chodniku, śledził ją w lustrach ulicznych i szybach sklepowych, odwrócony tyłem, dla niepoznaki.

Po wielu trudach ustalił, że: pani Urszula żyje, chodzi, je, załatwia sprawunki, bywa w teatrze, czasem w kinie, wraca do domu spać, wstaje co rano i że w tem wszystkim towarzyszy jej pan Isaj Zalkin.

Nie zrażało go to bynajmniej, przeciwnie, począł uważać Zalkina za przedmiot, za rzecz, którą pani Urszula zabiera ze sobą przez pomyłkę, że wystarczy jej tylko zwrócić uwagę, a wtedy ona pozna swój błąd i sprawa będzie załatwiona.

Wreszcie wtajemniczył w te sprawy Lubystka i zaprzął go do roboty. Po długich targach i próbach wymógł na nim to, że Lubystek włożył czysty kołnierzyk i wybrał się do niej z petycją.

Gdy wrócił, rozłożył przed Pawłem bezradnie ręce.

— Owszem, rozmawiała ze mną, nawet długo, ale powiedziała, że nie chce nawet słyszeć o tobie...

Rozpacz zwiększała się z dnia na dzień i urosła wreszcie do takich rozmiarów, że Paweł odważył się na szalony krok. Oto mi mniej niż więcej, pewnego dnia podszedł na ulicy do pani Urszuli i zaczął do niej coś mówić.

— Proszę się w tej chwili odczepić, bo zawołam policjanta! — krzyknęła w odpowiedzi, przyspieszając kroku.

Wówczas dopiero zastawił swój sygnet z szafirem i posłał jej bukiet storczyków. Efekt był nieoczekiwany — wraz z odesłanym bukietem nadeszła wreszcie odpowiedź. — Odpowiedź napisana jej własną rączką! Jej własnym atramentem! Ba! pisząc te słowa musiała nachylać się nad tym listem i przepoić go własnym oddechem!

W kopercie był również zaklejony jej oddech!

O treść mniejszą... coż, przecież to jasne — „Proszę mi dać spokój, nie chcę znać pana U. Dziubielowa”.

Ale to nie, nie można się przecież tem zrażać, skoro się pieści w dłoniach wonny listowy papier, na którym jej biała rączka wypisała cudne, małe literki. Paweł nie mógł się nacieszyć tym listem.

— Nareszcie — wołał — nareszcie!

Uchwyciwszy się za ten rąbek nadziei, zdwoił wysiłki.

Zaczął działać ostrożnie, obmyślając dokładnie każde posunięcie. Przewidywał ewentualne kontryposunięcia i brał każde z nich pod uwagę. Po pewnym czasie posłał znowu Lubystka. Petycja miała na celu przygotowanie odpowiedniego gruntu pod jeszcze jeden list.

— Nie dała mi wyraźnej odpowiedzi, próbuj! — taką przyniósł wiadomość Lubystek.

Paweł przysiadł fałdów i skomponował krótkie, lecz treściwe podanie.

Prosił tylko o możliwość przeproszenia jej osobiście, o nic więcej. Potrzebę tego umotywował dręczącymi wyrzutami sumienia, które nie dają mu spać i wielką skrucą, którą odczuwa z racji swojego postępcu. Pisząc o tym postępcu opatrzył go kilku groźnymi epitetami: „mój ohydny postępek, moje karygodne zachowanie się i t. p.”

I oto pewnego marcowego ranka, posłaniec w czerwonej czapce przyniósł Pawłowi odpowiedź, której treść, ugięła pod nim nogi ze wzruszenia. Było to zezwolenie na osobiste przeproszenie: „W drodze wyjątku... z uwagi na jego młody wiek... zezwalam”...

...Czekam w domu dziś o dwunastej... — takie były tam słowa.

...O dwunastej!

Na tem można śmiało zakończyć plądrowanie kartotek, opatrzonego napisem „przeżył miłośne”.

Można odczytać je do szuflady bez żadnej obawy, że się coś przepuściło. Niech sobie leżą. Należy powrócić do chwili bieżącej, kiedy to Paweł, po przespaniu się z obcym, nieuprzejmym panem, otrzymał właśnie ten list, który przyprowadził go z radości o poty, drżenie rąk i inne temu podobne objawy.

### Rozdział III.

#### POTRZEBNE SĄ PIENIĄDZE.

Paweł stał wciąż przy oknie, dotykając czołem wilgotnej szyby, radość płoszyła jego myśli, które hasały mu po głowie rozbieganym stadem. Usiłował powiązać je w całość, chwytając każdą z osobna. W niecierpliwej kolejce kolejno tłoczyły się pytania:

— Ciekawe, jak też mnie przyjmie?

— I coż jej powiem?

— Czy będzie sama, czy z Zalkinem?

— Jeżeli sama, to powiem tak i tak... a jeżeli przeprosiny mają się odbyć w jego obecności?...

Założył ręce do tyłu i z głową pochyloną, przemierzał krokami pokój. Dziś o dwunastej — przewidywał sobie szeptem, drżącymi wargami.

I nagle jak piorun z jasnego nieba poraziło go pytanie: — która godzina?

Miał w pokoju na ścianie zegar z kukułką, pozostałość cichego, wiejskiego dobrobytu. Rzucił na niego okiem — zegar stał: Nie miał go kto nakręcać: ostatnio Paweł zapisał się „na smutno”.

Zegar wskazywał cztery minuty po jedenastej. Paweł skupił uwagę, usiłując sobie przypomnieć, czy w trakcie ubierania się wraz z pijackim intruzem, nie rozlegało się kukanie zegara. Nie mógł sobie przypomnieć, znaczyłoby to, że zegar zatrzymał się dnia poprzedniego i wskazywał godzinę wieczorną.

Należało się jednak śpieszyć. Paweł przyskoczył do lustra, był nieogolony, w zapomnieniu schwytał za telefoniczną słuchawkę, chcąc się połączyć z automatycznym zegarem. Odwiesił ją czemprędzej, wylączony telefon milczał uparcie — jak grób. Włożył naprędce palto i wybiegł z pokoju. Zbiegając po schodach wiedział tylko o jednym — że żadną miarą nie wolno mu się spóźnić. Spóźnienie w tym wypadku oznaczało stracenie wszelkich szans na zdobycie uśmiechu pani Urszuli.

Panie bardzo cenią punktualność panów.

W rozpiętym palcie wybiegł na ulicę. Tuż za rogiem wisiał uliczny zegar. Paweł puścił się pędem do tego rogu. Zatknięto mu dech z przerażenia. Była za dziesięć dwunasta!

Zwykłe się jakoś tak dziwnie składa, że gdy człowiek bardzo się śpieszy i wskakuje do takówki, tyle razy starter nie działa.

Szofer niechętnym ruchem otwiera drzwiczki, wysiada bardzo powoli, leniwie zakładając korbę i kręci nią wielokrotnie.

Właśnie Paweł miał możliwość zaobserwowania tego zjawiska.

— Pośpiesz się pan do ciężkiej cholery! — wrzasnął przez okno. Szofer pośpieszył się nieco.

— Dokąd mamy jechać — zapytał. W tej chwili Paweł uświadomił sobie, że za jazdę trzeba zapłacić. Zglebił rękę w kieszeni i wydobył na światło dzienne kilka miedzianków. Normalną stałość z całonocnej libacji. Nie dając szoferowi odpowiedzi, wy-